

## **TRANSKRYPT: OPOWIEŚĆ O ŚWIETACH W DOMU SEWERYNA UDZIELI**

Fragment rozmowy z Zofią Sulikowską-Zegan z 15 października 2009 roku.

Prowadzenie i rejestracja: Alicja Małeta.

Transkrypcja: Łukasz Łoziński.

### **PRZYBYCIE GOŚCI I MALAGA**

Okazją do wspólnego śpiewania były kolędy bożonarodzeniowe. Wyglądało to mniej więcej w ten sposób – póki Brzostyńscy jeszcze mieszkali w Krakowie, to było do początku lat trzydziestych – po Wigilii wpadała na Lwowską gromada Brzostyńskich, kolędując już w sieni, za drzwiami [śmiech]. My zazwyczaj siedzieliśmy jeszcze przy części słodkiej Wigilii, oni już byli po wieczerzy. Robił się ruch, jak wchodzili... Wikta szalała... wycierała wszystkim nogi. I ruch ogromny, wszyscy wstawali – siedzieliśmy przy stole, więc wszyscy wstawali od stołu, siadali z powrotem, mówili równocześnie, głośno, składali sobie życzenia świąteczne, a nieodzownym punktem tej wizyty była malaga. Muszę o tej maladze napisać, bo ja to świetnie pamiętam, dlatego chcę to zatrzymać [śmiech] w kadrze, jak to się mówi. Więc malaga – malaga to było słodkie, czerwone, hiszpańskie ciężkie wino. I... przynosił go zawsze wujciu Marian. Wujciu Marian z tą flaszką, składaniem życzeń, stawiał na kredensie... Dziadek nie uznawał żadnego alkoholu. Wyjątkowo zezwalał na wypicie właśnie w Wigilię, do deseru tej malagi. I tutaj jeszcze muszę zaznaczyć, że na Lwowskiej nie podawano nigdy alkoholu w żadnej formie do żadnych potraw i przy żadnej okazji. I nikt nie palił papierosów – żadne z dzieci, żadne z wnuków, no, już nie mówiąc o dziadkach, prawda. Nikt nie palił. Tylko, niestety, palił nasz ojciec, palił strasznie dużo – z tego powodu umarł zresztą – i palił bardzo dużo, ku oburzeniu dziadka. Nie bardzo się lubili razem, między innymi, że jednak zadymiał cały dom, bo nie było wtedy takiej higieny, że tak powiem, palenia. Nie mówiło się, że bierne palenie bardzo szkodzi i ojciec palił i w jadalni, i w sypialni u nas, i w salonie. Więc ten dom jednak był przesiąknięty, ku wielkiemu zmartwieniu dziadka, papierosami, tytoniem, zapachem tytoniu. A, wracając do tej malagi i do Wigilii, dzieciom była... taka... po prostu celebrowana była ta uroczysta chwila. Podawano kieliszki winne i dzieciom nalewano do tych winnych kieliszków kompotu koloru malagi. Bo to byłoby niemożliwe, żeby... żeby były poza nawiasem, powiedzmy. Ale raz Ewa dostała do kieliszka łyżkę prawdziwej malagi. Czego nie mogę jej darować do dzisiaj. Pamiętam, byłam strasznie zazdrosna, ponieważ mój ojciec się nie zgodził, żeby wuj Marian nalał tą drugą łyżkę mnie, więc wobec tego tylko Ewa dostąpiła

tego niesłychanego zaszczytu, właśnie umoczenia ust w tej maladze, tak, jak dorośli. Malagę... Ach, Ewa chwaliła się tym przez parę lat, że tą malagę wtedy dostała do skosztowania. Malagę pogryzaną tradycyjną leguminą babci Udzielowej. To była... to był suflet z jabłek na kruchym cieście, przykryty pianą, piana była rumieniona w piecu, w piekarniku na złoto. No więc to było wspaniałe i potem ta legumina w domu mojej mamy przetrwała pierwszą wojnę, drugą wojnę i-i-i właściwie, ja jeszcze czasem kontynuuję i zrobię taką leguminę na Wigilię. Właśnie tą-tą... to się nazywało chyba legumina babci Udzielowej.

## KOLEĐOWANIE

Po tych już skonsumowaniu tej-tej leguminy i popiciu tą pyszną malagą, towarzystwo przenosiło się do salonu, który graniczył z jadalnią i nasz tata rozświetlał choinkę świeczkami – oczywiście, zwykłymi świeczkami, nie elektrycznymi, takich jeszcze nie było – wuj Marian na zmianę z Halinką siadali przy fortepianie, a Jerzy, syn Brzostyńskich obejmował dyrygenturę. Rozsadzał głosy – tu pierwszy głos, tu drugie głosy, a ciocia Dusia była solistka sopranem. Każdy miał tam salonie swoje miejsce – dużo miejsca było [śmiech] – i padały pierwsze akordy kolędy, zadrżały szyby i buchnęła potężna kolęda *Bóg się rodzi*, tym się zawsze zaczynało, a potem inne kolędy, między innymi ulubiona przez dzieci *Gdy się Chrystus rodzi*. A dlaczegośmy tą kolędę... czekali na tą kolędę – bo w tej kolędzie są takie momenty, gdzie ciocia Dusia robiła sopranowe koguciki. Myśmy śpiewali tam na dwa głosy, powiedzmy – a nawet na trzy – śpiewaliśmy dalej, prawda, zwrotki kolędy, a ciocia na tym tle miała takie wariacje – miała świetny głos, świetny sopran – i miała takie właśnie... takie... stosowała takie koguciki, jak myśmy to nazywali, sopranowe. Te-te-te koguciki nas zachwycały przez długie lata. Stale prosiliśmy ciocię przy tych wspólnych Wigiliach: „Koniecznie ciociu, zaśpiewaj nam *Gdy się Chrystus rodzi*, tą kolędę”. Nazajutrz, po takim... takim uroczystym śpiewaniu, pewnego razu służąca od sąsiadów z piętra niżej, od państwa Bornsteinów, zapytała naszą Wikte: „A to państwo zamówili sobie chór świąteczny? – A nie – odpowiedziała dumnie Wikta – to cała rodzina tak pięknie śpiewała!”. Była Wikta z tego strasznie... strasznie dumna i zresztą uczestniczyła, tak samo, jak i Stefcia, w tej uroczystości. I w tym miejscu muszę powiedzieć, że musimy... muszę zacząć od początku, [śmiech] to znaczy muzyczne tematy popsuły nam szyki, bo przeszli my do Wigilii, od końca Wigilii i te tematy, czyli kolędy, tu nas troszkę zbiły z tropu.

## **WIGILIA: DANIA Z MAKU, ŻŁOTA KASZKA, DANIA Z RYB**

A... ciekawą rzeczą było, jak wyglądał początek tego dnia wigilijnego... W dzień wigilijny wszyscy domownicy, razem z dziećmi pościli przez cały dzień, aby uczcić swoim poświęceniem, głodem, niejedzeniem, narodzin Pana Jezusa. To się czciło tym swoim poświęceniem, głodem – bo wszyscy byli strasznie głodni, oczywiście. Mieszkanie pachnące było czystością, pastowanymi podłogami, ciastem świątecznym, zapachem choinki – to były zawsze jodełki, prosto z lasu, które cudownie pachniały – dzisiaj wogóle nie pachną... nie pachną. I mieszkanie przechodziło ostatnie kosmetyczne zabiegi. Mama rozkładała haftowane serwetki, koronkowe, wykrochmalone. Kończyło się ubieranie choinki, która sięgała od podłogi do sufitu – stała w jadalnym, pomiędzy oknami. W kuchni – wrzało. Wikta, rozpalona, i mama wykańczały tradycyjne potrawy wigilijne. Co było na Wigilię u właśnie Udzielów? Co innego na przykład niż u mojego ojca. Bo mój ojciec, babcia pochodziła z Warszawy, wobec tego to był zabór rosyjski i zupełnie były inne potrawy tam, inne zwyczaje, inne tradycje. Ale tu, u Udzielów, w Galicji, był obowiązkowy barszcz postny, czerwony, z uszkami, z grzybami, na drugie była kaszka taka perłowa – ona była biała, ale była specjalnie przy... przyłaczana na maśle, tak, że się robiła taka złocista, kaszka perłowa, można ją nazwać krakowską i już tej kaszki nie ma. Już nie można jej kupić na placu tej kaszki, ponieważ powiedzieli nam, że... pamiętają starzy sprzedawcy, ale powiedzieli nam, że młyny już nie są nastawione na mielenie tego typu kaszki – koniec, kropka. I kaszki nie będzie. Ona była przygotowywana na sypko, z grzybami. Niepowtarzalna zupełnie w swoim smaku. Następnie karp – tradycyjny karp, smażony, panierowany, był z ziemniaczkami i z kapustą słodką, a nie kiszoną. Kapusta była z grochem i z jabłkami. Potem zaczynał się... słodka część – kompot ze śliwek – nie suszonych – we wszystkich domach jednak był kompot z suszonych owoców, a tu babcia Udzielowa wprowadziła kompot ze słoików – no, więc kompot ze śliwek... taki z weki, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, specjalnie robiony, oczywiście w jesieni, na Wigilię – kompot ze śliwek. Potem występowała potrawa, której nigdy, nigdzie u nikogo nie spotkałam. Mianowicie... A nie wypytałam się ani mamy, ani mama babci, skąd się to wzięło. Mianowicie to było... od... równoważnik z kutią. Ja tak przypuszczam, a ponieważ babcia była ze wschodnich rubieży, więc... a kutia była właśnie na Wschodzie serwowana, więc wydaje mi się, że to jakieś było pokrewieństwo tego łamańca, mianowicie łamaniec był zrobiony z maku z bakaliami, to znaczy przygotowywało się ten mak specjalnie już od drugiego dnia wcześniej, mak z bakaliami i... to jeszcze tu nadmienię, że ten mak się... najpierw się go zalewało gorącym mlekiem, stał całą noc, potem na drugi dzień go mełło trzy razy przez maszynkę, ku... ku grozie wszystkich tych, którzy musieli to... [śmiech to robić, bo

to była ciężka bardzo sprawa, następnie się przygrzewało... przy... przy... przyrumieniało ten mak na maśle, ta... kostkę masła, ja potem wprowadziłam pół kostki... pół kostki masła, papier tego maku, następnie do tego gorącego maku wrzucało się rodzynki, skórkę pomarańczową, można było kawałki czekolady z tabliczki czekolady takie... No, i obowiązkowo konfitura z truskawek albo z wiśni – tym się słodziło właściwie. Ach, a jeszcze przedtem się wbijało całe jajko surowe, żeby to się wszystko razem trzymało, prawda, żeby ten mak się nie rozsypywał. Więc to jajko scalało tą masę, prawda, w ten sposób. I... i te-te bakalie, jeszcze tam były orzechy, no, to migdały, jeżeli były, to się dodawało orzechy, migdały – pokrajane drobnutko i to wszystko się układało do salaterki. W to się wbijało ciasteczka okrągłe, takie wielkości, powiedzmy, średnicy trzech centymetrów. Nieduże były te ciasteczka, kruche, które, robiąc ciasto do leguminy babci Udzielowej, zawsze się oddzielało cześć tego ciasta kruchego i robiło się, wykrawało się kieliszkiem i robiło się takie... Przypuszczam, że tym łamańcem, jak sama nazwa wskazuje, musieli się widocznie w dawnych latach łamać, a nie opłatkami. Tylko musieli tam, na Wschodzie, widocznie, tym łamańcem, tymi ciasteczkami właśnie łamać. Ale tego nikt nie potwierdził, moja mama nie widziała, babci nie pytała, uważała to za potrawę wigilijną, a mnie się wydaje, że ona miała rodowód bardzo stary i bardzo ciekawy. Więc ten łamaniec zresztą był potrawą, którą wszyscy ogromnie lubili i... zniknął... A ponieważ mak musiał być obowiązkowo na Wigilii, prawda, czy to chrust z makiem, to koniecznie był mak, więc mak był podany w tej formie. No i na końcu, po tym łamańcu, była legumina babci Udzielowej, której już nikt nie miał siły jeść, bo tego wszystkiego było bardzo dużo. Z tym, że musiały... dziadek pilnował, żeby każdy kosztował każdej potrawy chociażby jedną łyżkę. To było obowiązkowo, tak, że stąd się to potem nagromadzało tego jedzenia dużo. Ale jeszcze... jeszcze przecież jedliśmy ryby w międzyczasie. I tutaj nadmienię taką ciekawostkę, że w rodzinie Udzielów nie jadano ryb w ciągu roku. Nie jadano ryb, z wyjątkiem karpia na Wigilię, smażonego, i z wyjątkiem śledzi w Wielkim Tygodniu. I teraz jaki był powód tego... tej awersji do ryb? Otóż powód był bardzo życiowy, mianowicie powodem była wrodzona, dziedziczna wada wzroku, czyli astygmatyzm. Astygmatyzm miał dziadek Udziela, występowała u dziadka i dziedziczyły wszystkie dzieci. Wszystkie córki, wszyscy synowie mieli ten astygmatyzm, więc... Jedni mieli w większym stopniu, drudzy w mniejszym stopniu – po prostu nie widzieli tych ości i to było dla nich niebezpieczne, tak, że... unikali po prostu niebezpiecznych potraw, bo dla nich ryba była potrawą niebezpieczną, ponieważ nie... nie mogli dobrze jej oprawić, prawda, do jedzenia. Wobec tego karp... Aha, jeszcze tu dodam, że my, wychowani z moim bratem na takim bezrybiu, nie umieliśmy jeść ryb. Myśmy dopiero...

Brat nie je do dzisiejszego dnia. Całe życie nie jadł ryb. Ma świetny wzrok. Zawsze miał świetny wzrok. Natomiast ja rozumiejąc, czym jest ryba, zaczęłam jeść ryby z rozumu, ale to też nie jest podstawa mojego jedzenia, powiedzmy. No, niemniej... niemniej mogę... mogę się zasmakować w dobrej rybie też. Wobec tego problem był z przyrządzeniem ryb. Karpia zabijał ojciec i oprawiał mój ojciec. A z kolei mój ojciec był z rybnego [śmiech] domu, gdzie ryby były pod wszystkimi postaciami, wszyscy mieli świetny wzrok i wszyscy Sulikowscy przepadali za różnego rodzaju rybami. Tam na Wigilię się rybę w galarecie podawało, rybę po żydowsku, w szarym sosie, rybę... właśnie... też karpia... tego... smażonego, tak, że zawsze przynajmniej trzy rodzaje... rybę w galarecie... przynajmniej trzy rodzaje ryby były podawane na Wigilię – co ojciec strasznie cierpiał, mieszkając [śmiech] razem z Udzielami, gdzie ta ryba była niemile widziana. Ale za to ojciec umiał oprawić rybę i robił to tak rewelacyjnie, z chirurgiczną precyzją, bo tutaj dodam – dzisiaj idziemy, pokazujemy palcem rybę, zabijają, patroszą i gotowaną... i gotową rybę przynosimy, prawda, do domu. A wtedy trzeba było wszystko zrobić w domu. Więc ryba była żywa, pływała w wannie i tą żywą rybę trzeba było zabić. Więc ojciec przez ścierkę... ojciec i Wikta zostawali w kuchni. Ojciec przez ścierkę trzymał rybę i pałką – [śmiech] taką do mięsa – bił ją po głowie. A my czatowaliśmy na duszę. A dusza to był pęcherz powietrzny. I tą duszę ojciec bardzo precyzyjnie wyjmował z wnętrzości ryby – duszę się suszyło osobno i potem dostawaliśmy ją do zabawy. Bawiliśmy się, podrzucając ją do góry. Uderzała, leciuteńka jak balonik, więc uderzając głową, kto tu wiele razy potrafi, prawda, nosem na przykład, więc myśmy czyhali na tą duszę. Poza tym mama, wychodząc z kuchni, mówiła: „Uważaj, na żółć!” – no, bo to była najważniejsza rzecz, ta... woreczek żółciowy, żeby się nie rozgniółł, bo wtedy ryba była do wyrzucenia, prawda, bo była zalana gorzką żółcią. Więc to było też... ogromna... ogromna, że tak powiem przedsięwzięcie z tą rybą. I mama uciekała do najdalszego pokoju, zatykając sobie uszy, a z kuchni dochodziły od czasu do czasu piski Wikty, kiedy zabita ryba skakała na stole. „Czemu ty, Wikta, się tak drzesz – dziadziu się pytał, dziadziu Udziela – czemu ty tak kwiczysz? – A ona mówiła – Bo części ryby skaczą na stolnicy!”. [śmiech] No, więc stąd właśnie były te jej wydawane głosy.

### **CZYM ZAJĄĆ DZIECI W TRAKCIE PRZYGOTOWAŃ?**

Ażeby dzieci nie przeszkadzały w tych wszystkich przygotowaniach – to znaczy ja i mój brat – nas delegowano pod opiekę dziadka. Siedzieliśmy w trójkę, w jadalnym pokoju, u kolan dziadka, bo siedzieliśmy zawsze na ziemi i kładliśmy głowę na kolanach dziadka, który opowiadał nam wtedy ciekawe legendy i podania związane ze świętami Bożego Narodzenia.

No i tak tych-tych... podań, tych legend jest bardzo dużo. A ja pamiętam na przykład opowieść, z którą się nigdy więcej nigdzie nie spotkałam. I zdaje mi się, że pani też tego nie знаła, jak kiedyś rozmawialiśmy. I dlatego ją tutaj zacytuję, mianowicie – można to zatytułować „Skąd się wzięła choinka” – zwyczaj choinki. Dziadek opowiadał tak: „Zwierzęta szły do stajenki oddać hołd dzieciąteczku i każde niosło jakiś dar. Na końcu szedł niedźwiedź i on nic nie miał i było mu wstyd. Kiedy szli przez las, ułamał choinkę – tak dużą choinkę jak on sam. Choinka była ciężka, droga była daleka, więc włókł ją za sobą, trzymając w łapie, oczywiście, i szedł na dwóch łapach. I włókł ją za sobą po ziemi. Cała choinka pokryła się śniegiem, po którym ją ciągnął. A kiedy przechodzili przez rzeczkę, rybki wczepiły się w gałązki iglaste i potem, jak wyciągnął, to zamarzły, bo był wielki mróz na polu. Z mijanych drzew opadał puch śnieżny, lśniący i migocący w słońcu. Przed stajenką niedźwiedź postawił drzewko – przepiękne, srebrzyste, migocące ozdobami. Dzieciątko ucieszyło się. I na pamiątkę tego zdarzenia dzieci ubierają na święta iglaste drzewka”. Dziadek nie lubił kolorowych, błyskotliwych choinek z bańkami. I tu jest do pani pytanie. Dziadek, tak, jak mówiłam, nie lubił tych nowoczesnych choinek, błyskotliwych, z tymi bańkami szklannymi, natomiast popierał z podwalniki z jedliny, czyli czubki choinki, na przykład, powieszony czubkiem do dołu, przywieszony do sufitu, względnie gałęzie ubrane światami, czyli kolorowymi kulkami, można powiedzieć, robionymi z opłatków. Opłatki się nacinało i wkładało się na... jeden w drugi. Dziadek wspaniale robił te światy – większe i mniejsze i całkiem precyzyjne, malutkie. Więc z opłatków zielonych, białych, żółtych i przynosił nam te opłatki i mówił: „Będziemy robić światy”. Naturalnie, myśmy patrzyli z zapartym oddechem, jak on to wycinał i jak te światy robił. Potem się montowało niteczkę do tego, żeby powiesić, no i one, właśnie dziadek tłumaczył, że to są podobne, które zdobiły wiejskie chaty na święta. Bo myśmy tego w mieście nie spotykali, prawda. Nie można było powiesić tego na Lwowskiej, bo – to, co mówiłam – mieszkanie miało cztery i pół metra wysokości i ten sufit była bardzo daleko i wysoko, wobec tego stała ogromna choinka, od podłogi do sufitu, niestety ubrana już w nowoczesny wówczas sposób. Dziadek pogodził się z tym nowym, co szło z Zachodu Europy w tym wypadku, czyli dziadek mówił, z wykrzywieniem się: „Szło z Niemiec”. Ale dla wnuków to robił, że tą choinkę nowoczesną całkiem przyjął w domu. Zresztą muszę powiedzieć to, co dawno temu opowiadałam, na początku, że w Wieliczce jak miał swoje własne dzieci, małe wtedy – zawsze była choinka. To pilnowała babcia Udzielowa. Zawsze była choinka od suf... tej właśnie podłogi do sufitu, ubrana właśnie różnymi pięknymi rzeczami. Ta choinka była tradycją, którą dziadek przyjął,

więc to były lata... koniec wieku dziewiętnastego, jednak. Potem to już przeszło, prawda, na wiek dwudziesty.

### **PODARUNKI OD ANIOŁKA**

I teraz jeszcze taka... mała uwaga, małe wspomnienie, mianowicie w rodzinie Udzielów święty Mikołaj, biskup, przychodził z darami w nocy z piątego na szóstego grudnia. A w Wigilię Bożonarodzeniową nie przychodził żaden święty Mikołaj ani karzeł ani żadne straszdyło, tylko przylatywał aniołek. I składał pod choinką świąteczne podarunki dla całej rodziny. W niektórych domach nawet przynosił ubraną choinkę. Ale ponieważ to było strasznie kłopotliwe, żeby tą choinkę gdzieś ubierać, prawda, już w warunkach miejskich – bo w Wieliczce przynosił aniołek choinkę, tam w dużym domu można było sobie na takie przygotowania pozwolić – natomiast na Lwowskiej to już sytuacja się zmieniła i nasi rodzice nas uspołeczniali jak gdyby, włączając nas robienia zabawek na choinkę, łańcuchów, owijania cukierków, do szykowania do zawieszania orzechów złoconych – wbijało się zapalną do orzecha i... złoconego, po czym wszystko było wyzłocone – i my, i nosy, i ręce, i cerata na stole... ale były orzechy pozłocone i miały tą wbitą zapalną, do której się przywiązywało nitkę, żeby to powiesić. Jabłuszka – takie z tych mniejszych, czerwonych – pierniki od Rothego oczywiście, przebijało się igłą, grubą nitką, kordonkową i wiązało się tam na tym i odbywały się te przygotowania wieczorami, pracowała nad tym cała rodzina, właśnie siedząc w jadalni przy stole, pod lampą, przygotowywaliśmy te-te... A były ambicje pomiędzy, kto zrobi ładniejszy łańcuch, kto zrobi lepszy... lepszy tam... lepszy pomysł ma na to. I poza tym to się odbywało w różnych domach tak samo, między innymi u kuzynów mojej mamy – wujek, który był wicedyrektorem gazowni, chemikiem, [śmiech] nie miał nic wspólnego z robotami ręcznymi, robił piękne zabawki, ale artystyczne, przewspaniałe! Na przykład świeczniki maleńkie, świeczniki z metalu, z takiego drutu złotego, nadzwyczajne różne... różne były te przez niego robione zabawki. Przez długi czas myśmy je wieszali na choince. Przychodził do nas, żeby się pochwalić i pokazać, jakie on zrobił, prawda, te, w tym roku – co roku było co innego. Oczywiście, ja przed tym już okresem świątecznym pisałam do aniołka, tak podobnie jak do świętego Mikołaja list z prośbą o wymarzone prezenty dla wszystkich domowników, które kładliśmy razem z Tadiem, moim bratem, na parapecie okna i obserwowaliśmy jego posuwanie się do... na zewnątrz. Jego przesuwanie się na zewnątrz. To, oczywiście, podciągał ten list nasz tata, który robił to bardzo dyskretnie i bardzo skutecznie. No i list zniknął, czyli został przyjęty. Oczekiwaliśmy teraz na dalszy ciąg wieczoru wigilijnego.

## **PIERWSZA GWIAZDKA**

Siedząc tak u kolan dziadka, wypatrywaliśmy – tego nas nauczył zresztą dziadek – wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdki. I dziadek przywiązywał wielką wagę do tego, że jak się pokaże pierwsza gwiazdka na niebie, to trzeba zasiadać... trzeba zacząć świętować. A więc – pierwsza rzecz – trzeba było pobiec do siebie i włożyć przygotowaną świąteczną odzież, taką wizytową, świąteczną. No, oczywiście, uczesać się i umyć ręce – to już było, prawda, obowiązkiem. Szli przebierać się wszyscy. Dziadek tego nie lubił, bo to jednak była wielka fatyga, przebierał się całkiem, ubranie wizytowe wkładał, świeżą koszulę, wszystko Wikta przygotowywała, układała na łóżku i on tylko przychodził, wkładał, wiązał krawat – był wizytowo ubrany. I ubierały się wszystkie pozostałe osoby... Ojciec się golił, cały dom pachniał wodą kolońską Pulsa... a również przebierały się obie dziewczyny – Wikta i Stefa. Też wkładały na siebie swoje niedzielne... kościelne, jak to się mówiło, kościółkowe stroje. I teraz wszyscy, cała rodzina świątecznie ubrana przychodziła, zbierała się w jadalni przy stole, stojąc. I, oczywiście, my, jak wracaliśmy do jadalni, zaraz szczeliliśmy oczami pod drzewko, pod którym leżały już... pod którym prezenty. Z tym, że teraz nam tłumaczono, że trzeba jeszcze wywietrzyć przed Wigilią i nie wolno wchodzić, bo okna otwarte, a mróz siarczasty. No więc potem, jakeśmy się już zbierali przed stołem, to w wywietrzonym pokoju już przez to otwarte okno tam aniołek już zaopatrzył w prezenty rodzinę. Ale nie wolno było ich ruszać – dopiero po Wigilii. No, więc dzieci podniecone niesłychanie, z wypiekami na twarzy, bo czasem były prezenty na wierzchu. Na przykład ja dostałam urządzenie pokoju dla lalek. I była taka na pół metra wielka szafa, biała, do wieszania sukienek lalczynek, półeczki do układania tam ubranek, sweterków lalczynek. Była... Innym razem dostałam foteliki z białego drewna, lakierowanego, foteliki, a te foteliki były takie duże, że... a myśmy byli tacy mali, że myśmy mogli też usiąść na nich. Byłam strasznie zazdrosna, bo Ewa, oczywiście – była moją rówieśniczką i dlatego ta zazdrość była na jednym poziomie wiekowym – Ewa dostała też foteliki, też dostała, ale były z giętej tonetowskiej, że tak powiem, formy, lakierowane... nie lakierowane, tylko politurowane na wiśniowy kolor i były malutkie – nie można było usiąść na tym, więc to były dla lalek tylko – i były elegantsze niż moje. A moje były ze zwykłego drewna, lakierowane na białe. Ale wszystkie stały tam pod tym, na nich siedziały lalki w świątecznych sukniach. No więc... te moje stare lalki, oczywiście... więc w związku z czym były takie prezenty, które leżały na wierzchu. Pamiętam, że mój brat dostał raz łyżwy i dostał cały taki sweterek, szal, tak, jak moherowy, puchaty – przepiękne, do dzisiejszego dnia to pamiętam – i czapkę z pomponem. To wszystko razem do tych łyżew było przyczepione. No, i oczywiście, wszyscy domownicy, każdy coś dla siebie, z tym, że nie

roznosiliśmy, jak później, już w późniejszych latach się roznosiło, bo każdy prezent był podpisany, dla kogo jest i dzieci roznosiły, to dawały dorosłym, którzy, najedzeni, siedzieli, prawda, [śmiech] i nie chciało się im ruszyć. A tutaj jeszcze wtedy wszyscy wstawali i każdy sobie szukał wśród prezentów swojej paczki. No, i, oczywiście, rozpakowywał natychmiast, oglądało się prezenty, oglądało się, co kto dostał i... Ale to było dopiero po Wigilii. A na razie stoimy wszyscy przy stole i czekamy na dziadka. Dziadek... dziadek... przychodził ostatni i stawał przy swoim stołku i mówił krótką modlitwę. Nie pamiętam czy czytał z Pisma Świętego ten rozdział – ale raczej nie czytał, bo musiałby mieć szkiełko w ręku i ja bym to pamiętała. Mówił... mówił krótką modlitwą, po czym... po czym składaliśmy sobie wszyscy życzenia, łamiąc się opłatkiem, po tej krótkiej modlitwie. Dzisiaj to jest rozbudowane przez Kościół bardzo, ta modlitwa przed Wigilią – wtedy była krótka, jakaś skromna, nieduża modlitwa, mówiona przez dziadka. Składaliśmy sobie te życzenia, łamiąc się opłatkiem, każdy z każdym, no i siadaliśmy przy stole – każdy miał swoje stałe miejsce. I ja go pamiętam do dzisiejszego dnia, gdzie kto siedział, wie pani. Tylko się dziwię, bo mi się wydawało, że było strasznie dużo ludzi i długi stół, ale to tylko w dziecięcych wymiarach, bo jednak osób było dziewięć. Czy osiem czy dziewięć, więc to nie było tak dużo.

### **NIE WSTAWAJ W CZASIE WIGILIJNEJ WIECZERZY!**

I w czasie wieczerzy wigilijnej dziadek nie pozwalał nikomu wstawać od stołu, poza tymi, którzy podawali potrawy, przynosząc je z kuchni – czyli Wikta i Stefka – one mogły wstać – reszta – nie wolno było nikomu wstać. „Dlatego – dziadek tłumaczył – że jak się od stołu wigilijnego wstanie, to na tym psutym miejscu natychmiast siadają duchy. Siada duch, bo przy wigilijnym stole uczestniczą w powietrzu duchy różne – nie tylko duchy znajomych czy duchy przodków, ale też może nawet złe duchy, więc jeżeli taki... i chcą usiąść przy stole, a tu wszystkie miejsca zajęte, więc jeżeli ktoś wstanie, to zaraz na tym miejscu siada duch”. A ja się zawsze pytałam: „A jak ja wrócę i siądę? – No to siądziesz duchowi na kolanach”. No, więc, oczywiście, bałam się tego straszliwie i nikt, z dzieci przede wszystkim, nie wstawał od stołu, co miało, oczywiście, znaczenie pedagogiczne i bardzo dyscyplinowało przede wszystkim dzieci. Bo dzieci jednak takiej długiej Wigilii nie wytrzymywały, prawda. No, a tutaj nie wolno było wstać, trzeba było siedzieć w odpowiedniej pozycji, więc opowieść o tych duchach była dla nas ogromnie przerażająca i bardzo wiążąca. I siedzieliśmy zawsze jak przykuci przy tym stole. Teraz jeszcze... jeszcze...

## **NAKRYCIE DLA POWSTAŃCA STYCZNIOWEGO**

Oczywiście, trzeba jeszcze wspomnieć, że zawsze przy nakrytym... na nakrytym stole wigilijnym stało puste nakrycie. I tą... tą... ten zwyczaj przenieśliśmy wszyscy do swoich domów – a więc mama, wszystkie córki i moje kuzynki – wszyscy zawsze stawiamy puste nakrycie – pełne nakrycie – talerz płytki, głęboki, sztuciec, kieliszki – obecnie, a wtedy, prawda, nie. Zawsze to puste nakrycie było. Raz się mówiło, że jest dla wędrowca, ale to się podobno mówiło już później, a w okresie powstań, powstania styczniowego mówiło się, że to jest dla powstańca. To jest dla powstańca, tak, że babcia Udzielowa nazywała to puste miejsce: „Dla powstańca przygotujcie miejsce!”. Więc powstaniec, który widocznie z Syberii wracał i dla powstańca było miejsce. Nawet u Sulikowskich, u mojego ojca, zapraszano powstańca z sześćdziesiątego trzeciego roku na Wigilię, który miał to swoje miejsce u nich przy stole wigilijnym. A powstańców, których ja pamiętam... było ich... jeszcze żyło ich za moich czasów kilkunastu. I oni brali udział w różnych uroczystościach – szli jednym szeregiem. I potem było coraz mniej, coraz mniej, coraz mniej... i skończyło się. Ale powstańców pamiętam, szli w mundurach, z odznakami, w takich czapkach specjalnych. A mundury chyba były granatowe, ale to nie... nie przysięgnę. W każdym razie dla powstańca było miejsce. Potem się mówiło u nas już w domu, że puste miejsce jest dla wędrowca. Dla wędrowca... musiało to, oczywiście... I jeszcze nie powiedziałam o tym, że zawsze się kładło pod obrus siano. To siano się rokrocznie przywoziło z wakacji, to już obowiązkowo, z kopki siana się garść, prawda, tego siana się zabierało, zawsze musiało być świeże i rozkładało się na całym stole, to siano, pod obrusem. Też pamiątka, prawda, Pana Jezusa leżącego na sianku.

[koniec nagrania]